

Bob
Mayer



Wirus
Z

Bob Mayer

Wirus Z

Dla Corey Andrew Cavanaugh, osoby szczególnej

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Prolog

Góra Cheyenne, Kolorado, 21 maja

Dwieście pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi jeden z członków sześcioposobowej załogi zwrócił się do dowódcy zmiany, przerywając monotonię wpatrywania się w ekrany komputerów.

– Wykryliśmy odchylenie orbity, sir.

Dowódca zmiany w centrum ostrzegania, major Sinclair, podniósł wzrok znad partii szachów, którą rozgrywał z komputerem.

– Którego obiektu?

– Kod RG-czternaście – odparł kontroler.

Oznaczenie kodowe udzieliło Sinclairowi kilku istotnych informacji: pierwsza litera oznaczała kraj pochodzenia obiektu, w tym wypadku Rosję. G – rok wystrzelenia: siódma litera alfabetu mówiła, iż wystrzelono go tego roku. Liczba 14 informowała, że był to czternasty obiekt posłany przez Rosjan na orbitę od 1 stycznia.

– To jeden z ostatnich – skomentował Sinclair. – Jaki jest rodzaj zmiany? Wszedł na inną orbitę?

– Nie, sir. Spada.

– Niech to diabli! – mruknął Sinclair. – Kiedy wejdzie w atmosferę? – Miał nadzieję, że od ponownego wejścia obiektu w atmosferę dzieli ich parę dni. Mógłby wtedy spokojnie wpisać RG-14 do rejestru „niestabilnych obiektów” i pozwolić oficerowi operacyjnemu, by zajął się sprawą w normalnych godzinach pracy.

Kontroler stuknął w klawisz swego komputera, po czym gwizdnął.

– Za dwanaście minut.

Sinclair nieomal wylał kawę.

– Co takiego?

– Za dwanaście minut, plus minus dwadzieścia procent. Schodzi bardzo stromo.

– Dajcie to na duży ekran – polecił Sinclair. Wielki monitor z przodu pomieszczenia wyświetlał mapę powierzchni Ziemi w odwzorowaniu Merkatora. Kilka wystukanych na klawiaturze poleceń wystarczyło, by załadować dane z Programu Wsparcia Obrony (PWO) i wyświetlić na ekranie wybrany obszar. Na wyświetlaczu pojawił się jasny punkt. Przesuwając się z lewa na prawo, mknął nad Południowym Atlantykiem.

Centrum Ostrzegania Raketowego Dowództwa Kosmicznego Stanów Zjednoczonych mieściło się głęboko w trzewiach góry Cheyenne, wznoszącej się na peryferiach miasta Colorado Springs. Dowództwo Kosmiczne, podlegające dowództwu Sił Powietrznych, było odpowiedzialne za satelitarny system PWO.

Z pułapu niemal czterystu kilometrów, z orbit geostacjonarnych, satelity czujnym spojrzeniem PWO obejmowały całą powierzchnię Ziemi. Pierwotnie system miał służyć wykrywaniu międzykontynentalnych rakiet balistycznych podczas zimnej wojny. Podczas wojny w Zatoce wykrył wszystkie, co do jednej, irackie rakiety SCUD. Okazał się tak skuteczny, że wojsko podrasowało go jeszcze, by mógł ostrzegać w czasie rzeczywistym dowódców lokalnych baz na poziomie taktycznym.

Co trzy sekundy system PWO ładował do pamięci komputera termiczną mapę powierzchni Ziemi i otaczającej ją przestrzeni. Większość danych przechowywano na kasetach w Centrum Ostrzegania, z wyjątkiem, rzecz jasna, sytuacji, kiedy komputer wykrył wystrzelenie nowej rakiety, albo gdy coś przytrafiało się jednemu ze śledzonych obiektów.

W sztabie Dowództwa Kosmicznego rozróżniano cztery kategorie obiektów znajdujących się w przestrzeni kosmicznej. Do pierwszej zaliczano te o ustalonych orbi-

tach, na przykład satelity lub złom pozostały po dawnych misjach. Każdy obiekt opatrzony był specjalnym kodem, a dane o nim zapisane na twardym dysku komputera w centrum Cheyenne. Obecnie okrążało Ziemię ponad osiem i pół tysiąca skatalogowanych obiektów.

Do kategorii drugiej należały obiekty, których orbita uległa zmianie – na przykład, kiedy państwo lub korporacja, do których należał satelita, postanowiły skorygować trasę. Trzecią kategorię stanowiły obiekty spadające. W takim wypadku Dowództwo Kosmiczne alarmowało Zespół Śledzenia i Określania Przyszłego Miejsca Upadku. Zespoły ZSiOPMU powstały w reakcji na głos opinii publicznej po upadku Skylabu parę lat wcześniej. Do czwartej kategorii zaliczano obiekty, które dopiero co zostały wystrzelone i nie przypisano im jeszcze kodu.

Podoficer, który pierwszy zauważył anomalie, opisywał teraz ruch obiektu.

– Przemieszcza się ze wschodu na zachód, mniej więcej na dziesiątym stopniu szerokości geograficznej.

– Znacie już punkt uderzenia?

– Komputer przeprowadza obliczenia, sir.

Do diabła, pomyślał Sinclair, zanim skończy, złom rozwali się o powierzchnię. Zwiął okienko z szachami i wstukał kod obiektu. Na ekranie pojawił się zwięzły wpis.

RG-14: stopień końcowy rakiety typu Proton.

Orbita: swobodna, wyliczona i zapisana.

Start: 18 maja 1997

Miejsce odpalenia: Kazachstan

Komentarze: stopień końcowy rakiety typu Proton, użytej do transportu satelity komunikacyjnego na mocy kontraktu z SINCOM, European Communications. Satelita figuruje na liście jako EG36.

Punkt świetlny oznaczał zatem rosyjską rakietę typu Proton, jak z pewną ulgą skonstatował Sinclair. Przynajmniej w grę nie wchodził reaktor atomowy, a Sinclairowi było wiadomo, że w przestrzeni kosmicznej znajdowało się takich kilka – zapatrywały w energię rosyjskie laboratorium kosmiczne i niektóre z ich satelitów. Gdyby coś takiego ruszyło w stronę Ziemi, byłby problem nie lada. Nie dziwiło też wcale, że europejskiego satelitę wyniosła na orbitę rosyjska rakietą. W Rosji było tak trudno o fundusze, że już od kilku lat Rosjanie zaczęli wynajmować rakiety nośne. Sam stopień rakiety nośnej był rupieciem bez znaczenia, chyba że skończy na dachu czyjegoś domu.

– Dlaczego schodzi z taką prędkością? – spytał Sinclair.

Sierżant, który pierwszy zauważył zmianę orbity, był w równym stopniu skonfundowany.

– Nie wiem, sir. W ogóle nie powinna tego robić. Stopnie końcowe Protonów zazwyczaj pozostają w górze przez jakiś czas, nim ich prędkość spadnie poniżej orbitalnej i zaczną powoli wracać do atmosfery.

– A może Rosjanie sami sprowadzają ją na dół? – zastanawiał się na głos Sinclair.

– Nie, sir. Według naszych danych o Protonach, to zwykły złom. Żadnych silników napędowych ani manewrujących.

– Zwykły złom nie może zejść z orbity i zaprzeczać prawu powszechnego ciężenia – zauważył Sinclair. – Może chcą użyć jej raz jeszcze?

– Nie ściągaliby jej na dół na tej szerokości geograficznej – odrzekł sierżant. – Poza tym, nigdy przedtem tego nie robili.

Patrzyli, jak mały punkt mknie ponad oceanem.

– Upadnie gdzieś w Afryce – ocenił sierżant, kiedy komputer podał w końcu prognozę. – Prawdopodobnie na terytorium Zairu.

Punkt dotknął zachodniego wybrzeża Afryki i rozpoczął swą drogę nad Angolą, by zniknąć niespodziewanie w pobliżu granicy z Zairem.

– Spadła.

– Zabezpieczyć kasetę – polecił Sinclair. W centrum nagrywano wszelkie informacje, których dostarczały satelity GPS. Zabezpieczali jedynie te kasety, co do których chcieli mieć pewność, że nie zostaną ponownie użyte. Z powodu cięć budżetowych musieli bowiem używać ponownie starych kaset, na których nie było żadnych ważnych nagrań.

– Przynajmniej nie walnęła w miasto – zauważył operator. – Najwyżej jakiś farmer zobaczył meteoryt.

– Najpewniej spadła w dżungli – powiedział Sinclair, oznaczając miejsce, w którym znikła świetlista kropka: pogranicze kotliny Kongo, conradowskie jądro ciemności. Lepiej w Afryce niż w Stanach Zjednoczonych, pomyślał Sinclair.

Praca w centrum potoczyła się zwykłym trybem. Sinclair spoglądał na ekran na przedzie pomieszczenia, wyświetlający w tym momencie mapę polityczną Afryki Środkowej. Coś nie dawało mu spokoju. Stopień końcowy nie powinien był schodzić w dół z taką prędkością. W zasadzie w ogóle nie powinien schodzić w dół. Powrót na Ziemię na skutek działania grawitacji rozpoczynał się zazwyczaj kilka tygodni, miesięcy, ba – nawet lat po wystrzeleniu, zależnie od wysokości orbity i prędkości, tymczasem ten obiekt znalazł się na dole w mniej niż kwadrans, od chwili pierwszej zaobserwowanej zmiany orbity. Być może zderzył się z czymś, kombinował Sinclair. W pobliżu orbity dryfowało wystarczająco dużo kosmicznego śmiecia. Jednak i to uzasadnienie nie do końca pasowało.

Sinclair wzruszył ramionami, dopisał do rejestru służbowego jeden wiersz dotyczący wydarzenia i zanotował dokładny czas nagrania incydentu. Potem wrócił do przerwanej partii szachów.

Rozdział 1

Angola, 9 czerwca

– Co o tym sądzisz? – zapytał sierżanta Ku prowadzący ciężarówkę kapral. Patrol znajdował się w sercu terytorium rebeliantów i ludzie byli mocno zaniepokojeni. Ku zdawał sobie sprawę, że porucznik Monoko, jadący dżipem na przedzie, boi się przyznać, iż nie ma pojęcia, jak daleko zabrnęli w głąb wrogiego terytorium.

Sześć godzin wcześniej zjechali z asfaltowej szosy wiodącej ze stanowiska straży granicznej w Luau do Luena, drugiego co do wielkości miasta przy drodze, i od tego czasu jechali drogami gruntowymi oraz ścieżkami. Sierżant Ku przez cały czas zerkał zaniepokojony w stronę słońca, które obrał za punkt orientacyjny.

– Myślę, że porucznik nie wie, gdzie jesteśmy – powiedział Ku. Siedział z kapralem w szoferce półtonowej dieslowskiej ciężarówki. Reszta patrolu – dwunastu ludzi – znajdowała się z tyłu. Ku, weteran wojny domowej w Angoli, początkowo walczył przeciw Portugalczykom, potem przez wiele lat u boku Kubańczyków. Przez lata pojawiali się nowi wrogowie i sprzymierzeńcy, lecz walczyło się ciągle tak samo.

Widzieli, jak porucznik Monoko w dżipie przed nimi spogląda na mapę i drapie się w głowę. To, że pojazd dowódcy jechał na przedzie, powiedziało sierżantowi więcej o jego nowym dowódcy, niż chciałby wiedzieć. Tylko głupiec chciałby jechać na czele, gdy droga mogła być zaminowana przez rebeliantów. Rzecz jasna instynkt samozachowawczy sierżanta nakazywał wielką wdzięczność za fakt, iż w tej akurat okolicy dowodził nimi porucznik-ignorant. Gdyby Monoko zrobił to, co powinien i puścił ciężarówkę przodem, sierżant nie znajdowałby się teraz w kabinie wysłużonego polskiego STAR-a, lecz na tylnym siedzeniu dżipa dowódcy.

Ku wyszedł z ciężarówki i ruszył w stronę dżipa. Był to pierwszy postój od kilku godzin, więc skinał na żołnierzy, by chwilę odpoczęli. Niektórzy i tak oddawali już mocz, stając z boku naczepy. Monoko drgnął, gdy Ku zasalutował, strzelając obcasami.

– Czym mogę pomóc, sir?

Porucznik był wielkim, opasłym mężczyzną, nawykłym do wygodnego, miejskiego życia. Ku zastanawiał się, jakie okoliczności zmusiły go do włożenia munduru i rzuciły na to pustkowie.

Przypatrywał się z chłodnym rozbawieniem, jak na szerokiej, czarnej twarzy dowódcy walczą sprzeczne uczucia. Duma kontra powaga sytuacji. Rozbawienie ulotniło się jednak szybko, gdyż spojrzenie w oczy Monoko potwierdziło to, czego sierżant się obawiał. Naprawdę się zgubili.

– Sądzę, że jesteśmy w pobliżu Cangamba – powiedział Monoko, wskazując niepewnie miejsce na mapie.

Lata użerania się z niekompetencją oficerów pozwoliły Ku zachować beznamiętny wyraz twarzy.

– Panie poruczniku, przez całe popołudnie zmierzaliśmy na północny zachód. Nie możemy być w blisko Cangamba.

– Jechaliśmy na południowy zachód – sprzeciwił się Monoko. Sięgnął do kieszeni, wydobył kompas i z dumą uniósł plastikową pokrywkę.

Z Ku ulotniły się resztki rozbawienia.

– Nie zatrzymywaliśmy się, by dokonać pomiaru, panie poruczniku. W jaki...?

– Sprawdziałem przez całą drogę – przerwał mu Monoko. – Potrafię odczytać wskazanie kompasu podczas jazdy. Nie muszę się zatrzymywać.

Ku wyciągnął dłoń. Monoko umilkł, po czym podał mu kompas.

– Proszę spojrzeć. Kompas pokazuje w tej chwili, że północ jest tam. – Wskazał na prawo od drogi. Następnie odwrócił się i odszedł kilka kroków od dżipa. Monoko niechętnie wysiadł i podążył za nim.

– A teraz, jeśli zechce pan zauważyć, według kompasu północ jest tam. – Ku wskazał na lewo.

Monoko zamrugał oczyma z niedowierzaniem.

– Ale jak to możliwe? Nie powinien się tak zachowywać!

Ku przygryzł wargę, by utrzymać nerwy na wodzy.

– Metalowe części dżipa oddziałują na namagnesowaną igłę kompasu. Właśnie dlatego powinno się stanąć i odejść od samochodu, by odczytać wskazania, albo orientować się względem słońca. – Wskazał palcem ku górze.

Ku był wściekły na siebie, że pozwolił oficerowi tyle czasu pozostawać w nieświadomości. Jednak wina była również po stronie Monoko. Nie tylko dlatego, że porucznik nie wiedział, jak należy posługiwać się kompasem, ale i dlatego, że nie poinformował Ku, jakie otrzymali rozkazy i gdzie zmierzają. Sierżant założył, że jadą w dobrym kierunku, nawet jeżeli oznaczało to wkroczenie na terytorium nieprzyjaciela. W końcu kiedyś trzeba wyruszyć na wojnę. Któż to wiedział, co wymyśli banda idiotów, która siedzi w Luandzie i wydaje rozkazy? Do uszu Ku od tygodni docierały plotki, że szykuje się coś naprawdę dużego i uznał, że kierunek ich podróży ma z tym jakiś związek.

Porucznik rozejrzał się. Zewsząd otaczały ich rozkołysane trawy. Na powrót odwrócił się do sierżanta.

– Co zatem robimy?

– Chciałbym spojrzeć na pańską mapę. – Ku podniósł pomarszczoną płachtę papieru i popatrzył przez chwilę. Odnalazł ostatni punkt, w którym jeszcze wiedział na pewno, gdzie są, następnie oszacował ich obecną pozycję. Od tamtej chwili jechali ponad pięć godzin, głównie na północ i zachód. Położył pomarszczony palec na papierze i zakreślił czterdziestokilometrowe koło, nieco na południe od miasta Saurimo.

– Znajdujemy się gdzieś tutaj. Musimy możliwie najszybciej ruszać na zachód, by wydostać się z terytorium rebeliantów przed zmrokiem. Wiem z całą pewnością, że kontrolują Saurimo.

Ostatnią rzeczą, której pragnął Ku, była noc spędzona w tej prowincji, w towarzystwie dowódcy-ignoranta i plutonu świeżych rekrutów. Znajdowali się na skraju Lunda Sul, północno-wschodnich terenów Angoli obfitujących w diamenty, rejonów znajdujących się całkowicie w rękach rebeliantów. Najbliższy rządowy garnizon znajdował się w Cacólo, od którego dzieliło ich jakieś sto kilometrów. Przy odrobinie szczęścia i dobrych drogach byli w stanie dotrzeć tam przed zmierzchem.

Monoko zebrał się w sobie.

– Tak jest. Musimy ruszać na zachód. Proszę powiedzieć ludziom, że wyruszamy.

Ku wykrzyczał odpowiednie rozkazy, po czym podjął trudną osobistą decyzję.

– Czy mogę dołączyć do pana w dżipie, panie poruczniku?

Pół godziny później skręcili i kierowca nadepnął na hamulec. Widząc płataninę zwalonych drzew, tarasujących drogę przed nimi, Ku zareagował instynktownie. Wysunął się z tylnego siedzenia i, schroniwszy za dżipem, wycelował broń przed siebie, oczekując zasadzki. Podejrzewał, że z otaczających drzew zaraz posypią się kule i wrzasnął na swych ludzi, by wyskakiwali z ciężarówki.

Żołnierze zareagowali opieszale, lecz w końcu wszyscy zalegli na ziemi, tworząc namiastkę szyku obronnego. Porucznik Monoko zjawił się obok i podniósłszy na chwilę głowę, zerknął przed siebie.

– Co myślicie? – szepnął oficer.

Ku nie miał wątpliwości, że jeśli w pobliżu znajdowali się rebelianci, patrol dawno został wykryty i nie było potrzeby szeptać, ale odpowiedział również cicho.

– Nie wiem, panie poruczniku. – Zerknął w stronę zwalonych drzew, które ktoś zrąbał, przyciągnął i rzucił w poprzek drogi. Za barykadą dostrzegał dym, być może przygotowywano tam posiłek. Ponad drzewami widać było skrawek krytego strzechą dachu.

– Tam jest wioska. – Logicznie było spodziewać się jej w tym miejscu: znajdowali się na nisko położonych terenach, po lewej płynęła rzeka.

– Wioska rebeliantów? – spytał porucznik Monoko.

Znajdowali się na terytorium rebeliantów, ale mieszkańcy większości wiosek, które Ku odwiedził przez lata, nie stali po żadnej ze stron biorących udział w krwawej wojnie domowej. Mieszkańcy życzyli sobie jedynie, by ich zostawić w spokoju. Jednak Ku zdawał sobie sprawę, że muszą przejechać przez wioskę, aby dalej zmierzać na zachód. Bardzo prawdopodobne, że za osadą natrafiają na bród.

– Pójdę zobaczyć.

Wstał i dał znak dwóm żołnierzom, by mu towarzyszyli. Podeszedł do blokady i rozejrzał się w poszukiwaniu min i pułapek. Nie znalazł nic. Obszedł zwalone pnie i rozejrzał się dookoła. Mała wioska, dziesięć, może dwanaście chat, przycupnęła na polanie łagodnego zbocza, opadającego ku rzece. Żadnego ruchu. Dym wznosił się ze stosu kopających się szczap, leżących z prawej strony wioski. Widać było również ślady kilku spalonych do szczętu chat.

Ku zmarszczył brwi. Po drugiej stronie osady także ustawiono blokadę, mógł za nią dojrzeć bród. Kogo wieśniacy chcieli powstrzymać? Gdzie byli teraz? Kto podpa-lił chaty?

Rozkazał swoim ludziom ostaniać tyły i ruszył naprzód. Do jego nozdrzy dotarł unoszący się w powietrzu smród i Ku zatrzymał się w pół kroku. Rozpoznał koszmarny zwąd, który przypominał mu o dawnych bitwach: płonące ciała. Ku odwrócił się, przyjrzał bacznie stosowi szczap i uświadomił sobie, że nie było to drewno. To płonęły zwłoki, obwiązane ciasno brudnymi szmatami. Leżały ułożone w czterech warstwach.

– Usunąć blokadę! – krzyknął do żołnierzy. – Natychmiast!

Ku podeszedł do najbliższej chaty i lufą swego Kałasznikowa odsunął na bok kawałek materiału zawieszonoego w drzwiach. Odór, który uderzył go w nozdrza, był chyba gorszy od smrodu płonących ciał. Zobaczył ściany obryzżgane krwią. Na podłodze leżało coś, co kiedyś prawdopodobnie było człowiekiem. Człowiekiem, którego ciało rozerwała jakaś potworna siła.

Ku widział podczas swej służby wiele zwłok i doszedł do wniosku, że osoba nie zgi-nęła raczej od eksplozji. Niemniej tylko w ten sposób można było wytłumaczyć takie obrażenia oraz ilość krwi, która pokrywała całe wnętrze chaty.

Ku ruszył w stronę następnej chaty, lecz przystanął, usłyszawszy głos porucznika Monoko.

– Co się dzieje, sierżancie?

– Nie mam pojęcia, panie poruczniku. Rozkazałem ludziom usunąć blokadę. Możemy przeprowadzić się przez rzekę, gdy skończą.

Monoko pociągnął nosem.

– Co to za swąd?

Ku wskazał przed siebie.

– Zwłoki. Palą się.

Oczy porucznika otworzyły się szeroko.

– Co się tutaj zdarzyło?

Ku poczuł strach. Lodowaty dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa, poczuł ucisk w żołądku. Odsunął lufą zasłonąę wiszącą w drzwiach kolejnej chaty.

Monoko jęknął i odwrócił się. Ku usłyszał, jak dowódca wymiotuje na widok sceny, która przywitała ich wewnątrz. Na postrzępionym materacu leżała kobieta, nogi miała szeroko rozrzucone. Pomiędzy nimi leżał poroniony płód. A przynajmniej Ku tak przypuszczał. Dostrzegł jedynie kupkę zgniłego mięsa i kałużę skrzepłej krwi. Matka nie żyła. Ku zmusił się, by na nią spojrzeć i ocenić, co jej się stało. Wylewała się z niej krew. Nie tylko spomiędzy nóg, lecz z oczu, nozdrzy, uszu, ust, każdego otworu ciała. Szmaty, w które się owinęła, przesiąkły czerwienią, jak gdyby nawet pociła się krwią. Fragmenty skóry, na których nie było krwi, pokrywały krzyżujące się, czerwone pręgi.

Ku odwrócił się wreszcie. Zobaczył Monoko na klęczkach, porucznik wciąż rzygał. Ku chwycił go za ramię.

– Musimy jechać! Natychmiast!

Sierżant rozejrzał się wokół. Żołnierze zdążyli zauważyć, co płonęło na stosie. Znac to było po wysiłku, jaki wkładali w usuwanie drzew. Pierwsza blokada zniknęła, drugą usunęli już do połowy.

– Musimy poszukać ocalałych – szepnął Monoko.

Ku pokręcił głową.

– Nikt nie ocalał.

– Musimy przeszukać wszystkie chaty.

Ku zmarszczył brwi.

– W porządku. Sam to zrobię. Niech dżip i ciężarówka ruszają. Dogonię was.

Ku pobiegł w pośpiechu do sąsiedniej chaty. Pusta. W następnych czterech odnalazł ciała, a raczej to, co z nich zostało – masa gnijącego mięsa i krwi. W przedostatniej chacie na podłodze ktoś leżał. Młoda kobieta. Odwróciła głowę, gdy Ku odsłonił zasłonę w drzwiach. Oczy miała rozszerzone i czerwone. Po jej policzkach spływały strużki krwi jak łyż. Jej skórę pokrywały czerwone pręgi.

– Błagam! – wychrypiała. – Pomóż mi.

Ku wszedł do środka, choć każda komórka układu nerwowego krzyczała, by stamtąd uciekał. Ukląkł przy kobiecie. Twarz miała napuchniętą i oddychała z wielkich trudem. Po smrodzie rozpoznał, że dziewczyna leży we własnych odchodach.

Nagle ręce kobiety wystrzeliły ku górze i chwyciły kołnierz kurtki Ku. Z zadziwiająco siłą dźwignęła się ze smrodliwej maty i zbliżyła swą twarz do twarzy Ku. Jej usta otworzyły się, jak gdyby chciała coś powiedzieć, lecz zamiast tego popłynął z nich strumień czarno-czerwonej mazi, rozlewając się po klatce piersiowej i twarzy Ku. Mężczyzna wrzasnął i uderzył rękoma od dołu, lecz nie mógł wyrwać się z uścisku kobiety. Dźwignąwszy się na kolana, rzucił się w stronę drzwi, ciągnąc ze sobą uczepioną kobietę.

Wbił lufę Kałasznikowa w jej brzuch i pociągnął za spust. Ołowiane pociski w stalowych koszulkach dosłownie przecięły ją wpół, lecz nawet po śmierci jej dłonie nie rozluźniły uchwytu. Ku odrzucił broń za siebie, wraz z kurtką ściągnął pokrwawioną koszulę przez głowę i zostawił je w chacie, z zaciśniętymi na nich palcami kobiety.

Wybiegł chwiejnie na polanę, prosto na żołnierzy nabiegających z bronią gotową do strzału.

– Jedziemy! – krzyknął na nich, wycierając sobie z twarzy krew i wymiociny. – Jedziemy!